№ 24. Warszawa, dnia 4 (16) Czerwca 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

I.

O niektórych najdawniejszych książkach.

Druk i drzeworytnictwo (ksylografia). Sztuka umierania. Pierwsze drukarnie i druki polskie. Podanie talmudyczne o Salomonie i Asmodeuszu. Centaur i Marolf (Marchołt), jako przeobrażenia Asmodeusza. Rozmowy Salomona z Marchołtem po polsku. Pierwsze drzeworyty polskie. Nowoodkryte ułamki kalendarzy polskich. Zwolennik emancypacyi kobiet w XVI wieku. Niektóre inne dawne książki.

Żaden może z wynalazków umysłu ludzkiego nie sprawił tak wszechstronnego i zupełnego przewrotu w pochodzie cywilizacyi, nie wywarł tak potężnych skutków, jak wynalazek druku. Dziś wszelkie płody myśli ludzkiej, przy pomocy prasy drukarskiej, lotem błyskawicy rozchodzą się po wszystkich zakątkach ziemi, przystępne zarówno dla uboższych jak i dla bogatszych, ułatwiają naukę, wspierają potężnie handel i przemysł, przyczyniają się do wzrostu dobrobytu, do poprawy urządzeń społecznych i politycznych, podtrzymują ducha krytyki, krzewią pojęcia religijne i obyczajowe. Prasa peryodyczna stała się potęgą i niezbędnym czynnikiem rozwoju cywilizacyjnego. Jakże inaczej było przez długie wieki, poprzedzające nieśmiertelny wynalazek Gutenberga! W starożytności wiele utworów literackich nie istniało nigdy więcej jak w jednym tylko egzemplarzu, własnoręcznie przez autora napisanym; inne dzieła popularniejsze były przepisywane powoli i mozolnie, zaledwie po kilka lub kilkanaście egzemplarzy w ciągu stulecia lub kilku stuleci i dla tego zawsze były rzadkie i drogie. Za czasów cesarstwa rzymskiego rozchodziło się po świecie dość książek; istnieli już, jak u nas, księgarze i nakładcy, którzy mogli wygotowywać znaczniejszą liczbę egzemplarzy jedynie dzięki istniejącej wówczas instytucyi niewolnictwa. Wykształceni, przynajmniej choćby tylko pisać umiejący niewolnicy musieli darmo lub za lichą płacę przepisywać całemi latami rękopismy; była to ich pańszczyzna. W wiekach średnich pańszczyznę tę pełnili dobrowolni więźniowie — mnisi, z których niejeden strawił lat wiele nad ozdobnem przepisaniem niewielu książek. Jak niewolnictwo starożytne, tak zakony średniowieczne musiały przecie i na coś dobrego przydać się ludzkości i istotnie trudno to nawet sobie wyobrazić, coby się stało z naszą oświatą i cywilizacyą, gdyby nie było pracowitych mnichów, którzy odosobnieni w spokojnem zaciszu klasztornem, zdala od zgiełku i walk barbarzyńskich czasów, przechowali dla wieków potomnych szczątki starożytnej literatury i sami, według możności, tworzyli nowe dzieła piśmienne. Ileżby to zupełnie zaginionych płodów greckiej i rzymskiej literatury, i dzieł średniowiecznych ocalało, gdyby już wówczas druk był znanym! Niezawodnie i cała postać starożytnej i średniowiecznej cywilizacyi a więc w następstwie i naszej obecnej, zupełnieby inaczej wyglądała. Nie było to jednak, widać, wolą Opatrzności, która jakby z zamiarem zwlekała wynalazek druku, tak prosty i łatwy, tysiąckrotnie prostszy i łatwiejszy od wielu innych wynalazków dokonanych w starożytności i w wiekach następnych.

Książki w wiekach średnich mogli posiadać tylko ludzie bardzo bogaci i królowie — ci właśnie, którzy wówczas jak najmniej troszczyli się o książki. Bywały wypadki, że za jeden rękopism płacono kilka tysięcy talarów lub dawano kilkanaście sztuk bydła. Kapituły katedralne, a nawet uniwersyteta i akademie mogły posiadać zaledwie po kilka lub kilkanaście rękopismów; zbiór kilkudziesięciu uchodził już za bogatą bibliotekę. Uczniowie szkół książek nie mieli, i dla tego nauka, choć słaba ówczesna, rozwijać się nie mogła.

Powiedziałem wyżej, że widocznie Opatrzność przez długie wieki nie pozwalała umysłowi ludzkiemu wpaść na tak prosty, jak druk wynalazek. Wprawdzie Chińczycy wpadli nań jeszcze podobno przed narodzeniem Chrystusa, ale z po za muru chińskiego najmniejsza wieść o tym wynalazku nie przedarła się do Europy. A jednak, rzecz dziwna: ryto przecie napisy na marmurze i kamieniach; pisano długie prawa i dekreta na tablicach metalowych; od niepamiętnych wieków znano pieczęcie, na których rzeźbiono litery i całe wyrazy; odbijano również napisy na monetach i nikomu, pośród tak rozwiniętej cywilizacyi starożytnego Egiptu, Grecyi i Rzymu, nie przyszło do głowy użyć podobnego sposobu do odbijania książek. Posiadamy nawet świadectwa historyczne, które dowodzą że Europa jeszcze przed Chrystusem była o jeden krok tylko od wynalazku druku: tak np. Cycero w dziele swojem „O oratorze" mówi o układaniu wyrazów z rozsypanych na podłodze liter! Od wieku XIII w Europie zaczęto odbijać rzeźbione na drzewie obrazki świętych, do których później dodawano podpisy; przy końcu XIV lub na początku XV wynaleziono karty do gry, które tymże co obrazki sposobem, i również z podpisami odbijano. To było właśnie początkiem wynalazku druku, gdyż niebawem zaczęto odbijać i książki z wyrzynanych tablic drewnianych.

Zdaje się rzeczą niewątpliwą, że taki druk drzeworytniczy czyli „ksylograficzny" był znany przynajmniej na 100 lat przed Gutenbergiem, który około 1440 roku wpadł tylko na pomysł pocięcia na pojedyncze ruchome czcionki tablicy drewnianej, na której przedtem wycinano całą stronicę. Holendrzy odmawiali Gutenbergowi zaszczytu tego wynalazku, przypisując go swemu ziomkowi Kusterowi z Harlemu, ale, jak się zdaje, bezzasadnie. Sposób odlewania czcionek metalowych wynaleźli dopiero pomocnicy Gutenberga — Faust i Szefer.

Bądź co bądź, drukowano z tablic ksylograficznych jeszcze przed Gutenbergiem i on sam, przed 1440

rokiem, odbijał tym sposobem w Strasburgu abecadlniki i inne książki szkolne, zaradzając temu właśnie dotkliwemu, jak wspomnieliśmy brakowi. Z druków ksylograficznych przed Gutenbergiem najdawniejszym znanym jest rycina, przedstawiająca św. Krzysztofa ze stosownym napisem; pochodzi z 1423 roku. U antykwaryuszów niemieckich można jeszcze czasem dostać starych druków ksylograficznych, albo przynajmniej ich ułamków; są to jednak niezmiernie rzadkie osobliwości, nie już na wagę złota, ale chyba ze dwadzieścia razy drożej od złota płacone. W 1872 roku sprzedano w Lipsku na licytacyi kilka takich druków ksylograficznych; za najdawniejszą taką książkę (właśnie pierwsze wydanie „Sztuki umierania", o której niebawem jeszcze wspomnimy) zapłacono 7150 talarów (8580 rubli, podług dzisiejszego kursu); za dwa późniejsze wydanie dano 1245 i 1200 talarów (1497 i 1440 rubli). W Polsce druków ksylograficznych nie odbijano; z odbitych zaś za granicą zachował się w ziemiach dawnej Polski *jeden* tylko, o ile dotychczas wiadomo, zabytek, znajdujący się obecnie w bibliotece hr. Działyńskiego w Kurniku pod Poznaniem. Jest to egzemplarz wspomnianej „Sztuki umierania (Ars Moriendi), w języku łacińskim, odbity niewiadomo gdzie pomiędzy 1450 i 1480 rokiem, oprócz tego, że jest prawdziwym białym krukiem, bo jedyną u nas tego rodzaju osobliwością, interesujący nas jeszcze i z tego względu, że autorem jego był podobno Polak zwany Maciejem czy Mateuszem z Krakowa; tak przynajmniej sądzi Bentkowski, choć Bandkie i Lelewel nie widzą jasnych tego dowodów. Dla tych więc dwóch względów powiemy słów kilka o tej osobliwości. Jak wszystkie druki ksylograficzne, tak i ten ozdobiony jest rycinami. Dochowany egzemplarz składa się z 13 kart w formacie arkuszowym (in folio). Treść dzieła stanowi opis ostatnich chwil konającego człowieka, którego szatani kuszą do wszelkiego złego, aniołowie zaś odwodzą i bronią. Wszystko to jest wyobrażone na 11 rycinach, opatrzonych odpowiednim opisem. Pierwsza rycina przedstawia kuszenie chorego przez dyabłów w rzeczach *wiary*. Jeden z szatanów zachęca konającego do szyderstwa z wiary, wskazując mu stojących na uboczu trzech ludzi, zapewne z wiary drwiących; drugi dyabeł zachęca chorego do samobójstwa, pokazując mu człowieka, podrzynającego sobie gardło; nakoniec trzeci namawia umierającego do bałwochwalstwa, pokazując mu parę królewską, klęczącą przed stojącym na kolumnie bałwanem. Z ust szatanów wychodzą wstęgi, na których wypisane są wypowiadane przez nich rady. Na drugiej rycinie anioł wzmacnia wiarę chorego, wskazując mu Trójcę św., Matkę Boską i świętych, a dyabli wyznają swoją klęskę i upokorzenie. Trzecia rycina przedstawia kuszenie w przedmiocie *rozpaczy*. Szatani przypominają konającemu rozmaite jego występki, wskazując mu ich ofiary i wypisane na tablicy jego grzechy, ażeby pobudzić go do rozpaczy i zwątpienia o miłosierdziu boskiem. Na czwartej rycinie, anioł zapobiega i temu, pokazując grzesznikowi przykłady miłosierdzia boskiego, zapierającego się Piotra, św. Pawła i łotra na krzyżu; zwyciężony szatan wije się w rozpaczy na ziemi. Piąta rycina wystawia kuszenie pod względem *niecierpliwości*; rysunek ten ma cechy humorystyczne. Zły duch, widząc, że mu się nie wiedzie, a chcąc wzbudzić w chorym gniew i niecierpliwość, przyprowadza doń trzy kobiety (zapewne w myśli złośliwego przysłowia: *gdzie dyabeł nie może* i t. d. Dwie z kobiet drwią z cierpień chorego, trzecia zaś przynosi mu pokarm i napój, co przy osłabieniu konającego jest także szyderstwem. Zniecierpliwiony chory kopie nogami nieproszone pocieszycielki i wywraca stół z jadłem; dyabeł tryumfuje. Na szóstej rycinie anioł niweczy krótki ten tryumf szatana, który znowu wyznaje swoją przegraną. Siódma rycina przedstawia szatanów, usiłujących wzbudzić w chorym *próżność* i *pychę*. Jeden więc z dyabłów wychwala jego silną wiarę, drugi — jego ufność, trzeci — cierpliwość, pochlebiają mu i kadzą mu słowami ofiarując trzy korony, jako symbole trzech zwalczonych pokus. Niebezpieczeństwo było wielkie i dyabli byli już blizkimi zwycięztwa, gdyż na siódmej rycinie widzimy, że aż trzech aniołów przybiegło na ratunek umierającemu i jeden, klęcząc, modli się za niego, drugi zachęca do pokory, wskazując na niebo; trzeci grozi karą za pychę. Aniołowie zwyciężyli, a szatan znowu wyznaje się pobitym. Na ósmej rycinie szatani przypuszczają szturm do chorego, usiłując wzbudzić w nim *chciwość* i *miłość rzeczy doczesnych*. Pokazują mu więc jego żonę, dzieci, krewnych, przyjaciół, zebrane przezeń skarby, konie i t. d. ażeby odwrócić myśl jego od Boga i zwrócić ją ku rzeczom doczesnym. Była to już ostatnia chwila chorego, którą dyabli dla tego rodzaju pokus obrali, gdyż po następnej rycinie dziewiątej, przedstawiającej upominanie anioła przeciwko chciwości, dziesiąta przedstawia już śmierć kuszonego, w otoczeniu żony, dziecka i modlących się aniołów, a na dodatkowej, jedenastej i ostatniej rycinie, widzimy Chrystusa Pana, klęczącego przed tronem Boga Ojca i składającego przed nim narzędzia swojej męki.

Drukarstwo wkrótce po wynalezieniu zawitało i do Polski, która pod koniec XV i na początku XVI wieku, jak wiadomo, nietylko nie ustępowała w cywilizacyi krajom zachodnim, ale przeciwnie, wiele z nich przewyższała. Najdawniejsze drukarnie powstały w stolicy państwa — w Krakowie, a pierwszymi drukarzami byli naturalnie cudzoziemcy, przynoszący do Polski nowy ten kunszt. Drukarze ci byli po większej części wędrowni, zmuszeni często zmieniać miejsce pobytu, gdyż ciemne masy widziały czarnoksięztwo w nieznanej dawniej sztuce, a duchowieństwo i panujący, podejrzliwie spoglądając na ten nowy środek swobodnego i szybkiego szerzenia myśli, prześladowali drukarzy daleko więcej niż piszących.

Pierwszy zawitał do Krakowa Ginter Zajner, Niemiec i prawdopodobnie jeden z uczniów samego Gutenberga; bawił w stolicy Polski 2 lub 3 lata i wydrukował tu około 1465 roku „Objaśnienia Psałterza" po łacinie przez Jana de Turrecremata napisane. Była to więc pierwsza książka łacińska, w Polsce wydrukowana. Zainer musiał już rozpowszechnić w Polsce znajomość sztuki drukarskiej i wykształcić uczniów, gdyż około 1490 roku mamy już wiadomość o drukarzach Polakach: Świętopełk Fiol, rodem prawdopodobnie z Lublina, wydrukował w Krakowie dwie książki w języku cerkiewno słowiańskim, do liturgii wschodniego kościoła należące: Ośmiogłasnik i Czasosłow. Są to najdawniejsze w świecie drukowane książki słowiańskie, które poprzedziły drukowanie książek polskich. Rzecz dziwna, że książki religijne wschodniego kościoła były drukowane w Krakowie; ztąd niechętne Fiolowi duchowieństwo katolickie zmusiło go wkrótce do opuszczenia Krakowa.

Pierwszą stałą drukarnię w Krakowie założył krajowiec Jan Haller mieszczanin krakowski w 1503 r. za panowania króla Aleksandra; drukarnia jego istniała aż do 1528 r.

W ogólności należy pamiętać, że drukarze, w pierwszych czasach po wynalazku druku i przez cały jeszcze prawie wiek XVI, daleko ważniejszą odegrywali rolę niż dzisiejsi; zajęcia ich były bardziej skomplikowane, trudności większe, a wykształcenie naukowe było często bardzo znaczne. Nietylko bowiem że drukarz był także jednocześnie giserem, odlewającym czcionki, nietylko był zarazem nakładcą i księgarzem, nietylko zamawiał pewne dzieła lub przekłady u autorów i tłómaczów, ale nadto zajmował się ustaleniem pisowni i form języka literackiego, jak w Polsce wówczas niewyrobionych. Wielu też z drukarzy krakowskich, których nazwiska i zasługi z poszanowaniem przekazują nam historycy, wpłynęło korzystnie na rozwój języka literackiego i pisowni polskiej. Pod tym ostatnim względem szczególnej zasłużył się Wietor, o którym jeszcze później powiemy: on pierwszy zaczął drukować książki łacińskie *antykwą* to jest używanemi dzisiaj czcionkami — przed nim drukowano literami gockiemi czyli niemieckiemi, które zachowano dla książek polskich jeszcze aż do końca XVI wieku; Wietor także ustalił ortografią polską w takiej prawie postaci, w jakiej pozostała przez cały wiek XVI.

Najdawniejsze ustępy pojedyńcze, drukowane po polsku, znajdują się w dziele teologicznem łacińskiem Rudolfa biskupa wrocławskiego, wydrukowanem w Norymberdze 1475 r.; są tu ojcze nasz, pozdrowienie anielskie i skład apostolski po polsku. Dalej wspominają bibliografowie podobneż ustępy w dziele łacińskiem, wydanem w Wenecyi 1480 r. Następnie idą ustępy polskie w *agendach* łacińskich czyli podręcznikach dla księży przy odbywaniu obrządków religijnych. Posiadamy wyjątki polskie z takich agend, drukowanych u Hallera w 1505 i 1514 r. Dziwaczna i nieustalona pisownia była dla drukarzy największą trudnością w odbijaniu polskich druków. Próbkę tej pisowni daje np. następujący wyjątek z formuły ślubnej (1514). „Pitam czijebije M. ij thesch czijebije K. iestlij voij szadaczije wstępijcz wstadlo malszenijskije? Szadamij... Alije ijestlibij podczassem mijlij bog przepusczyjl nanija nyektorą nijemocz. Albothesch nijektorij nijedostatek Silijubisch iją nije opuscyczcz. Szlubiją."

A jednak język czysty i poprawny, niemal dzisiejszy, gdyż podług teraźniejszej pisowni ten ustęp brzmi: „pytam ciebie M. i też ciebie K. jeśli wy żądacie wstąpić w stadło małżeńskie? Żądamy... Ale jeśliby pod czasem miły Bóg przypuścił na nią niektórą niemoc, albo też niektóry niedostatek, ślubisz ją nie opuścić? Ślubię."

W zbiorze praw, zwanym Statutem Łaskiego, wydrukowanym po łacinie również u Hallera 1506 r. znajduje się wydrukowana po polsku słynna pieśń „Bogarodzica," której układ przypisywano św. Wojciechowi i którą aż do XVII wieku nuciło rycerstwo polskie przed każdą bitwą.

(d. c. n.).

FRAGMENT.

Kiedy mą duszę z uczuć-marzeń koła
Rzeczywistości głos nagle wywoła,
I myśl z zachwytu błogiego się budzi —
I trzeba żegnać przystań ducha miłą,
W życia żeglugę puścić się zawiłą
Od skał, o twardszych rozbijać się ludzi —
Widna mi wówczas, przyszłych walk męczarnia,
Smutek, bezsilność, trwoga mię ogarnia
Lękam się... serce błaga — choć daremnie:
„Oddal ten kielich ode mnie!"

Kiedy nadzieja na gruzach wspomnienia
Zielone wieńce powabnie zawiesi,
Z prób gorzkich, zbiera owoc doświadczenia,

Z tęsknoty iskrę tkliwszych uczuć wskrzesi
I myśl znużoną śpiewem ukołysze,
I burze ducha zaklnie w marzeń ciszę —
Jak senne ptaszę drży serce tajemnie
A zdala, echo może wtórzy jeszcze
Słowa tak smutne — i takie złowieszcze:
„Oddal ten kielich ode mnie!“

Lecz kiedy złego rozszalałe tonie
O pierś uderzą, i wzbiorą straszliwie,
Gdy boleść cierniem okoli me skronie,
A pierzchnie pomoc dana nieżyczliwie,
Gdy cele walki jasno się ukażą,
Płonnych urojeń orszak się rozwieje,
Na szali życia rzetelnie się zważą
Ziarenka prawdy, i marne nadzieje...
Wiarą wzniesiona, woła dusza moja:
„Ojcze mój! bądź wola Twoja!“

Marya Szeliga.

SZATAN.

SZKIC DO POWIEŚCI

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Dokończenie).

Podniosłem wzrok w tymże samym kierunku: oparty o kolumny, ukryty do połowy w cieniach padających od wysuniętego naprzód pierwszego piętra lóż, stał młody blondyn elegancko a nawet wykwintnie ubrany. Poznałem go odrazu: on to tak fantastyczną prowadził rozmowę ze mną przed drzwiami wchodowemi kawiarni.

W tej chwili poprawiał kołnierzyki, gładził rudą brodę, i uśmiechał się wdzięcznie; wyraźnie był to prawdziwy śmiertelnik, albo też za takiego pragnący być uważanym — co w gruncie rzeczy zupełnie na jedno wychodzi.

— „Któż jest ta piękna dama?” zapytałem jednego z moich sąsiadów w krzesłach, wskazując na nieznajomą.

Zagadnięty jegomość był jednym z tych zitelianizowanych niemców, którzy osiadłszy od lat kilkudziesięciu we Włoszech, zapomnieli swego języka i obyczajów, wyrzekli się stosunków i nawyknień pierwotnych, pozostawiwszy w głębi sercową ciężką dobroduszność cechującą po większej części średnią klasę synów Germanii. Trudnił się fabrykacyą i sprzedażą kapeluszy słomkowych, zakupienie więc przeze mnie i przez kilku towarzyszy podróży mojej tego niezbędnego pod skwarem włoskiego nieba artykutu, było powodem naszej znajomości.

— „Eh! eh! eh!” odparł śmiejąc się onym ciężkim śmiechem, jakiego tajemnicę posiadają tylko przemysłowcy niemieccy, to jest kolos banku... jeżeli mówię kolos, źle się wyrażam; mąż jest kolosem, a ona zważywszy na wiek — Koliseum!

I śmiał się długo jeszcze będąc najmocniej przekonanym, że powiedział rzecz nader dowcipną.

Zostawiwszy mu czas nacieszenia się do woli ponowiłem zapytanie.

— Jest to bankierowa O***; jej mąż ogromnym majątkiem swoim i kredytem przeważa finansowo w interesach giełdy ankońskiej. Eh! eh! eh! dodam także i otyłością, bo jest niezmiernie gruby.

Zwróciłem jego uwagę na młodego blondyna ukrytego w głębi parteru, ku któremu perspektywa zwróconą ciągle była z równą usilnością.

— Ten... przeważa znowu w sercu bankierowej.

I poczciwiec śmiał się swoim donośnym śmiechem, który byłby zapewnie przedłużył się jeszcze, gdyby podniesiona w tej chwili kurtyna i z kilkunastu miejsc sali odzywające się naraz sykania nie powstrzymały wybuchów jego wesołości.

Rozpoczęto balet.

Scena przedstawiała laboratoryum Fausta; w około ścian stały retorty, alembiki i różne dziwaczne narzędzia służące do doświadczeń alchemicznych goniącego za szczytem wiedzy doktora: szafy zapełnione były grubemi księgami in folio, kilka zaś kościotrupów ludzkich dopełniało ogólnego obrazu. On sam siedział w głębokim fotelu, a w rozłożonej przed sobą księdze szukał znaku fantastycznego i tajemniczego zarazem mikrokozmu.

Zniecierpliwiony bezowocnem ściganiem za nauką do zbadania której rozum ludzki nie starczył, odrzucił od siebie kabalistyczną księgę, sparł czoło na drżącej dłoni, i dumał nad ciasnymi krańcami okręgu, którego pomimo tylu trudów i mozołów, tak wielkiej mądrości, tak długich doświadczeń i wniosków, dotąd przejść nie zdołał.

A w tem zegar uderzył dwunastą godzinę północy — wichry zawyły na dworze przedzierając się przez szczeliny laboratoryum, wstrząsły kościotrupami: błysło, zagrzmiało i odezwał się straszny, dziki, przerażający śmiech szatana.

Śmiech ten przypomniał mi inną chwilę: podobnie zaśmiała się czarna postać znikająca przed kilku dniami na skręcie ulicy, wtedy gdy młody blondyn otrzymał od znajdującej się na balkonie damy, przychylne wezwanie.

Spojrzałem na nią: wstrząsła się, zbladła i odwróciła oczy od sceny, spojrzałem na parter, blondyn stał zawsze oparty o kolumnę, uśmiechając się wdzięcznie i poprawiając kołnierzyki.

Wyraźnie nie był on niczem więcej, jak tylko nader pospolitym amoroso.

Kiedy się to działo pomiędzy publicznością, na scenie rozpoczęty zaledwie dramat rozwijał się mimiczną akcyą w coraz więcej fantastyczne wypadki.

Usłyszawszy ten śmiech szatański, który brzmiał szyderstwem, zwątpieniem i pogardą, zadrżał mędrzec w swym gniewie a doprowadzony do ostateczności, porwał kryształową retortę... w niej szukał on szczytu wiedzy, w niej śledził pierwiastki życia, a znalazł tylko męty odczarowania.

— „Precz! precz ode mnie marne narzędzie, w którem zagrzebałem marzenia mojej młodości!” mówiły wykrzywione szaleństwem gniewu rysy Fausta.

I ciśnięte silnie o ziemię szkło rozprysło się na cząstki.

O dziwy! W każdym kawałku stłuczonego aparatu, odbiła się szkaradna postać wroga rodu ludzkiego.

Mefistofeles, stał w pośrodku nieforemnych szczątków, niby duch zatracenia na gruzach rozbitych nadziei — a śmiech jego dziki, szalony, urywany, splótł się z akordami piekielnej muzyki którémi zagrzmiała w tej chwili orkiestra.

Fantastyczny jego ubiór podwyższał jeszcze wrażenie jakie sprawiał złowieszczy wyraz rysów; na ciemnym tle aksamitnego płaszcza wybijała wyrazistemi kształty trupia, matowa bladość twarzy, wśród której pod czarną pręgą gęstych brwi błyszczały okrągłe, jasne, nieruchome oczy jego... dwa prążki czerwonawe wybiegały z pomiędzy najeżonych włosów; były to dwa rożki wątłe, drżące pod podmuchem wiatru, chwiejące się za każdem stąpnięciem!...

Spojrzałem przez perspektywę; oczy szatana zwrócone były na panią O*** — miały one wciąż ten dziwny wyraz nieuruchomienia, wyradzający tak przykre uczucie, sprawiający tak niemiłe wrażenie...

Wypadki zaczęły następować szybko po sobie.

Mędrzec ze starca stał się młodzianem: siwy włos zczerniał, przygarbione wiekiem ciało otrząsłszy się z niedołęztwa starości nabrało siły, energii i życia — a znikające zmarszczki ukazały pełną i rumianą twarz dwudziestokilkoletniego młodzieńca.

I ukazała się urocza postać Małgorzaty, owego naiwnego dziewczęcia, które w tej atmosferze przepełnionej wyziewami złowrogiej alchemii i swędem piekła, błyszczało jako gwiazda zbawienia ukazująca drogę odkupień równemu obłędem nauki mędrcowi. Panna Mayard, amerykańska tancerka, uosobiła że tak powiem ową wdzięczną kreacyę Götego: tkliwa, czuła, rzewna, zaledwie dotykająca drobną stópką ziemi, zdawała się ulatywać nad przepełnionem piekielnemi namiętnościami sercem doktora niemieckiego, i osłaniać wrzącą myśl jego skrzydłami niewinności...

Ale Mefistofeles stał tam ze swojem ponurem spojrzeniem, ze swoją złowrogą twarzą — a wzrok jego palący, ognisty, przerażający, zabijał wszelkie szlachetne uczucia rodzące się w sercu tego, którego duma zapragnęła przedrzeć krańce wiedzy człowieka.

A tymczasem drugi dramat nierównie ciekawszy odgrywał się w loży pani O***.

Po pierwszej chwili przykrego wrażenia, jakie na nią ukazująca się nagle postać szatana pomiędzy szczątkami rozbitej retorty wywarła, starała się odwrócić wzrok od sceny — ale jakaś siła niepojęta, magnetyczna, sprawiała że pomimowolnie choć z widocznym wstrętem, śledziła każde jego poruszenie. Dumnym był władzca piekieł z wrażenia jakie uczynił, bo postać jego zdawała się rosnąć, głowa podnosić do góry, a w bladych nieruchomych rysach przebiegło coś nakształt uśmiechu tryumfu.

Niepodobało się to wszystko blondynowi, ukrytemu dotąd w cieniach kolumny na parterze, gdyż ujrzałem go nagle znikającego w tłumie, a po chwili ukazującego się w loży pani O***.

Tym razem kolej przegranej przyszła na Mefistofelesa.

Ujrzawszy wroga przy boku tej, która, o ile tok wypadków okazywał, opanowała samowładnie serce jego, zadrżał, postąpił kilka kroków naprzód, a zapomniawszy o scenie, akcyi i charakterze osoby którą przedstawiał, wlepił wzrok swój nieruchomy w niewierną.

We wzroku tym wyczytać można było wszystkie namiętności gniewu, zazdrości i rozpaczy.

W tejże prawie chwili młody blondyn szepnął coś do ucha pięknej sąsiadce; ona spojrzała na niego czule, i uśmiechnęła się skinąwszy z lekka głową.

To już było nad siły nieszczęśliwego; spojrzał raz jeszcze, przesunął dłoń po wybladłem czole, zachwiał się i padł zemdlony na ziemię.

Głuchy szmer rozległ się po sali, publiczność powstała z miejsc swoich, aktorowie znajdujący się na scenie pobiegli do zemdlonego — kortyna zapadła.

Balet nie mógł być dokończonym.

Opisane powyżej wypadki tak szybko nastąpiły jeden po drugim, iż wszyscy niemal widzowie zajęci sceną niedostrzegli dramatu odgrywającego się w loży N. 1. primo piano, a słowa wychodzące po chwili z ust reżysera, który oznajmił że pan Ferdynand Croce, skutkiem fałszywego stąpnięcia uległ zwichnięciu nogi, nie znalazły niewiernych pomiędzy publicznością.

Gdyby jednakże jaki bezstronny obserwator powątpiewał, pomimo urzędowego zapewnienia o praw-

dziwości wypadku, to artykuł z d. 27 Kwietnia 1858 roku drukowany w gazetach miejscowych, a podający za przyczynę niedokończenia widowiska powód ogłoszony przez dyrekcyę teatru, utrwaliłby niezawodnie przekonanie jakie w niego wmówić chciano.

Niestety! ja piszący powyższe słowa, nie mam zwyczaju pokładać bezwzględnego zaufania co do artykułów i gazet w ogólności, a zaś Gazety ankońskiej w szczególności.

* * *

Znalazłszy się nazajutrz rano wraz z towarzyszami podróży na pokładzie statku, który nas miał zawieść do Tryestu, mie miałem sposobności rozwinąć dalszego ciągu spostrzeżeń nad osobami, których gra namiętności wywołała może tragiczny wypadek jak to się dzieje w romansach, a pewniej jeszcze zakończyła się prozaicznie — jak to zwykle bywa w rzeczywistem życiu.

Czuję się jednak w obowiązku dodać, że baletnik Croce, zapisany pod N. 1. na statku odchodzącym do Tryestu, nie ukazał się pomiędzy zgromadzonymi pasażerami. Przyczyną jego nieobecności było w oczach wszystkich zwichnięcie nogi, jakiemu uległ na wczorajszem przedstawieniu, a rzeczywiście cięższa choroba która wywiązała się zapewnie z gwałtownego wzruszenia.

* * *

Szkic który obecnie skreśliłem, pozostałby bez początku, końca a co najgorsza bez rozwiązania treści, gdybym w kilka tygodni po opisanych wyżej wypadkach, znajdując się w Wenecyi, nie znalazł przypadkowym sposobem klucza dającego mi nareszcie środek do odgadnięcia tej zagadki sfinksa.

Pewnego wieczora, siedząc przed wchodowemi drzwiami kawiarni Floriano, usłyszałem jak jeden z biesiadników przerzucających gazety miejscowe, wykrzyknął nagle do otaczających osób:

— Czy wiecie panowie jak smutną wiadomość wyczytałem w dzienniku weneckim? Ferdynand Croce, jeden z pierwszych naszych baletników, podpora choreografii scenicznej, zakończył życie po kilku tygodniach ciężkiej choroby.

— Czy być może? zawołano do koła.

— Tak jest niezawodnie, słuchajcie co nam donosi korespondent z Ankony: Wczoraj około południa znany powszechnie artysta baletu, który z tak niezwykłym talentem odgrywał rolę Mefistofelesa w Fauście, zakończył w strasznych cierpieniach doczesne swe życie. Mówią iż miłość nieszczęśliwa stała się jedynym powodem zgonu tego utalentowanego artysty.

— Miłość? odezwał się jeden z obecnych, czyliż tacy ludzie mogą kochać?

— „Kochają jednak czasami silnie, namiętnie, gorąco. Znałem Ferdynanda Croce, i mogę was zapewnić panowie iż to była wyjątkowa osobistość. Natura nie dała mu piękności, nie był on tyle brzydkim ile okropnym, strasznym, przerażającym. We wzroku, wyrazie twarzy, ruchach, miał coś odrębnego niezwykłego, coś co go czyniło podobnym do króla piekieł. Ta właśnie odrębność zapewniła mu tryumf sceniczny; nikt dotąd z równą prawdą nie zdołał odwzorować ponurej i przerażającej postaci ducha złego, nikt po jego śmierci nie potrafi nam tak dotykalnie uzmysłowić kreacyą Götego; w choreograficznej formie przepadła ona na zawsze.

— Tak, przyznaję — rzecze inny z biesiadujących — ale cóż za związek ma z tem wszystkiem miłość?

— Ferdynand Croce pokochał szalenie żonę bankiera O*** w Ankonie. Ubóstwiana przez niego kobieta nie była lepszą od innych podobnych, mówiono nawet, któż jednak złym językiem dać może bezwarunkowo wiarę, iż pełnoletnia piękność nie pozostała obojętną na czułe spojrzenia pewnego o dosyć pospolitej powierzchowności i rudawej brodzie komisanta handlowego. Szatańska postać baletnika nie tylko nie zdołała obudzić w jej sercu żadnego współczucia, ale wywoływała zawsze w niej wstręt, zgrozę i przestrach. On ażeby ją widzieć, odrzucił najświetniejsze ofiary pierwszorzędnych teatrów, i zagrzebał się w Ankonie; wiedział nieszczęśliwy iż miasto tkliwych uczuć obudza tylko grozę a jednak kochał ją! Cierpiąc najsroższe męczarnie, znajdował niejaką pociechę w stawaniu ciągle przed oczami przerażonej widokiem jego kobiety jako widmo, upior, szatan — tym sposobem oddawał jej choć drobną cząstkę boleści nurtujących całą jego istotę.

Ale wszystko musi mieć koniec na tym świecie. Nadmiar katuszy przyśpieszył jego skon—dziś już nie żyje!

— Biedny, żal mi go szczerze! Może po śmierci będzie miał to czego nie posiadał za życia. Nieczuła na cierpienia swojej ofiary piękność, zapewne nad grobem tak namiętnie kochającego ją człowieka uczci jedną łzą litości ten przedwczesny skon, westchnie nad nieszczęśliwym losem swego wielbiciela, i pomodli się za jego duszę...

— Nigdy!

— Dla czego?

— Czyliż podobna modlić się za nieczystego ducha?

Na tem stanęła rozmowa — goście rozeszli się powoli, a ja pozostawszy sam na ławce przed kawiarnią pogrążyłem się w dumaniu. Marzyłem o nieszczęśliwym a zarazem niezasłużonym losie... szatana!

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część pierwsza.

Suez, Aden, Moka.

(Dalszy ciąg).

Rozpocząwszy na nowo naszą przechadzkę, spotkaliśmy Araba w kaftanie czerwonym będącym, we wszystkich koloniach angielskich oznaką władzy policyjnej.

Zatrzymawszy nasz pochód oświadczył uroczyście, że po godzinie ósmej wieczorem nie wolno chodzić po mieście z bronią, że zatem powinniśmy natychmiast wrócić do naszego mieszkania lub przepędzić noc na pustyni.

Tłum ludzi towarzyszący nam przyjął tę odezwę śmiechem urągania, szydząc z udanej powagi przedstawiciela Wielkiej Brytanii. Rzuciliśmy mu kilka sztuk drobnej monety, którą on przyjął z takiem zadowoleniem, że przyłączył się do naszego orszaku i szedł naprzód niosąc latarnię w ręku.

Ta pozorna władza Wielkiej Brytanii nad miastem Aden ma jednakże znaczenie straszliwe dla krajowców. Wedle bowiem polityki przyjętej przez nią względem ludzi nieoświeconych, po upływie pewnego czasu liczba jej przedstawicieli będzie powiększoną; później dodadzą im do pomocy kilkunastu, nareszcie kilkudziesięciu żołnierzy; w ostatku ludność zawezwaną będzie do składania podatku i dostarczenia rekruta, a upornych ukarze miecz a co najmniej wygnanie.

Mieliśmy iść do studni arabskich bez żadnego zboczenia, gdy niespodzianie orszak zatrzymał się z oznakami największego uszanowania, a Amudu jakby przerażony cofnął się kilka kroków krzyknąwszy:

— Mulach nadchodzi.

Rzeczywiście, podszedł ku nam starzec poważny, ubrany bardzo starannie, a powitawszy nas obyczajem wschodnim przez dotknięcie ręką czoła oświadczył, że zaprasza nas do siebie na wieczerzę. Jest rzeczą więcej niż pewną, że ów Mulach jest w Aden narzędziem angielskiem opłacanem drogo w widokach nie tyle obecnych ile przyszłych korzyści. Wedle ogólnej pogłoski kierował on zabójstwem popełnionem na osobie konsula francuzkiego, ale, jakeśmy już mówili, przedmiotu tego nie wolno było dotykać komisyi śledczej.

Przyjąwszy zaproszenie Mulacha chciałem skierować rozmowę na ów wypadek straszliwy ciążący na sercu każdego Francuza. Usiłowania moje jednak były daremnemi, bo gospodarz nasz w tym przedmiocie nie wymówił ani jednego wyrazu. Częstował nas hojnie daktylami, figami, bananami, wybornym miodem zebranym na górach Hedża, później kawą nie lepszą od podanej nam w budzie, a nareszcie oświadczył że nas do studni poprowadzi osobiście.

W tej krainie piaszczystej, gdzie potrzeba przebiedz wiele mil, aby zobaczyć źdźbło rosnącej trawy, najstraszniejszą klęską dla mieszkańców jest brak wody, bo nie dostrzeżesz nigdzie źródła i jedynie tylko deszcze dostarczają napoju tyle koniecznego dla życia ludzkiego. Cóż to za straszliwa rozpacz dla mieszkańców skoro czasem upłynie lat dwa, a najmniejsza chmurka nie ukaże się na sklepieniu niebieskiem. Potrzeba w takim razie sprowadzać wodę na grzbiecie wielbłądów o mil kilkanaście odległości.

To też wiatr peryodyczny nazywany Musson, oczekiwany jest przez mieszkańców z prawdziwą skruchą religijną.

Nabożeństwa odprawiane są w meczetach, nakazane posty i pobożne pielgrzymki.

Czasem jednak Ałłach i jego prorok nie wysłucha gorliwych modlitw swoich wyznawców i wiatr przewiewa nie sprowadziwszy dobroczynnej burzy. W takim razie następuje wychodztwo ludności na wielki rozmiar, do okolic więcej błogosławionych; pozostają starcy, kaleki i w ogóle ludzie nie mogący znieść długiej podróży, którzy po większej części zamierają, nie walcząc nawet wedle obyczaju wschodniego, przeciwko srogiemu losowi.

Niekiedy jednak słońce wznosi się po nad widnokręgiem czerwieńsze niż zazwyczaj, promienie jego są jeszcze więcej palącemi, pokłady piasku na pustyni od czasu do czasu zmieniają swoją barwę; wiatr z początku lekki później coraz silniejszy porusza powietrze od strony morza; tu i owdzie można dostrzedz kłęby piasku wznoszone ku górze, bałwany morskie coraz większe przyspieszonym biegiem uderzają o skały; to uragan zapowiada swe odwiedziny. Po upływie kilku godzin, całe niebo pokryte jest czarną powłoką. Nagromadzone chmury hukiem piorunów zapowiadają straszliwą walkę żywiołów. Naraz morze zdaje się występować ze swojego siedliska, wicher szalony wprowadza w ruch całą pustynię, przenosząc z miejsca na miejsce pokłady piasku, nareszcie rozpoczyna się straszliwa ulewa, którą nie można nazwać deszczem, bo jest to prawdziwa rzeka spadająca z wyżyn powietrznych i taki stan trwa dni piętnaście, a czasem miesiąc cały. Piasek pochłania chciwie spadającą wodę, bo inaczej utworzyłaby ona ogromnej wielkości jeziora. Radość jednak największa ożywia serca wszystkich, bo studnie są pełne obejmujące wodę na trzy lata.

Należy wyznać, że studnie te są zrobione znakomicie w pośród piasku otaczającego ich ze wszystkich

stron. Użyte do tego celu cegły i cement są trwałości nieokreślonej, bo początek ich odnieść należy aż do pierwszej ery muzułmańskiej, a mimo tego są w takim stanie, że jeszcze kilka wieków posługiwać będą do użytku.

Po zwiedzeniu studni Mulach pożegnał nas chcąc wypocząć trochę, bo prawdziwego muzułmanina nigdy wschodzące słońce nie powinno zastać w łóżku.

My zaś postanowiliśmy odwiedzić słynne tancerki, a raczej tak nazwane kapłanki bogini Cythery.

Amadu poprowadził nas do budynku większego od innych i mającego okna od ulicy, co oznaczało, że tu mieszkają kobiety nie będące pod władzą mężczyzny. Otwierano drzwi przed nami w sposób tajemniczy, bo nie dostrzegliśmy nigdzie odźwiernego i dłoń żadnego z nas nie dotknęła klamki. Weszliśmy nareszcie do ogromnej sali kwadratowej, przyozdobionej wspaniałym dywanem pokrywającym całą podłogę i wązkiemi sofami stojącymi obok ścian. W czterech rogach sali stały cztery naczynia napełnione palącemi się węglami, nazywanemi zazwyczaj pastylkami serajowemi. Wedle obyczaju wschodniego oświetlenie było bardzo słabem, co dodawało tem większego uroku. W środku sali spostrzegliśmy dziesięć kobiet czarnych siedzących na dywanie i trzymających w ręku rozmaite instrumenta muzyczne. Zaraz po naszem wejściu podniosły się z ziemi i na dany znak przez Araba starego, powitały nas w sposób nadzwyczajnie uniżony, czołami swemi dotykając prawie dywanu. Byliśmy w osłupieniu, bo nie wiem dlaczego, ale wyobrażaliśmy sobie, że owe kapłanki Cythery są odrażającej postawy, a tymczasem zobaczyliśmy kobiety młode niepospolitej piękności. Najmłodsza mogła mieć lat czternaście, najstarsza dwadzieścia i pomimo cery czarnej nie miały w twarzach swych nic murzyńskiego, bo usta były drobne i koralowe, nos pociągły, włosy długie przypominające sploty świetnego jedwabiu.

Usiedliśmy a raczej położyliśmy się na sofach, bo długa przechadzka zmęczyła nas nadzwyczajnie.

Sześć kobiet odłączyło się od innych, a stanąwszy naprzeciwko nas, przybrały postawę malowniczą wyciągając ręce po nad swemi głowami. Na dany znak instrumenta muzyczne poczęły przygrywać, ale w sposób przygłuszony, tak że odgłos ich podobnym był do jakiegoś mruku dzikiego, dziwnie jakoś oddziaływającego na nerwy. Dźwięki te trwały co najmniej pięć minut, a przez ten czas kobiety w przybranej postawie stały naprzeciwko nas, wpatrując się w nasze oczy nadzwyczaj wymownie. Z nieruchomości swej podobnemi były do posągów, ale życie rozlane było nadzwyczajne, co można było poznać z przyśpieszonego oddechu, z wyrazu twarzy i układu całego ciała.

Muzyka zmieniła melodyą, owo mruczenie ciągłe ustało, a tylko od czasu do czasu wydobywane były z instrumentów jakby jęki płaczliwe. Kapłanki gwałtownym ruchem zmieniły postawę; ukląkłszy przechyliły głowę ku tyłowi, a wyciągnąwszy ręce zdawały się nam wydawać rozkazy, a zarazem przybrały odpowiedni wyraz twarzy. Ruch ten wykonanym był tak znakomicie, że i najbardziej wymagający dyrektor baletu, nie miałby nic do zarzucenia. Kapłanki podsunęły się ku nam, jakby pełzały, a raczej zdawały się płynąć w powietrzu, a odwinąwszy bogate sploty włosów na ramiona, rzuciły się do naszych nóg z wyrazem boleści na twarzy i przybierając zarazem postawę pełną powabu.

Przy dźwiękach muzyki kapłanki Cythery znikły, a my poszliśmy do gospody i powiem szczerze, oczarowani niezwykłem widowiskiem. Mieliśmy się już rzucić na przygotowanych plecionkach słomianych, gdy spotkała nas prawdziwa niespodzianka; dwóch naszych przewodników należących do plemion koczujących, zaprosiło nas na śniadanie do swych namiotów rozbitych nieopodal od miasta. Zapewniali nas, że na naszą cześć upieką barana i przyrządzą słynne kukusu, wedle wszelkich przepisów sztuki kucharskiej na Wschodzie.

Dwóch Holendrów przyjęło bardzo oziębłe zaprosiny i położywszy się na posłaniach wkrótce zasnęli głęboko; dwóch jednakżeż Hiszpanów, Anglik i ja, chcąc poznać bliżej plemiona koczujące, postanowiliśmy odwiedzić ich namiota.

Z pierwszemi promieniami wschodzącego słońca przybyliśmy do stanowiska koczujących plemion, w pośród krzyku dzieci, szczekania psów i rżenia koni tak pięknych, że pewno niewiele posiada podobnych najpierwsza stajnia europejska.

Zaledwie mieliśmy czas zsiąść z naszych mułów, gdy wyszła z namiotów na nasze przyjęcie cała ludność męzka, pod przewodnictwem swego naczelnika wysokiego starca z twarzą dumną i spojrzeniem rozkazującem. Powitał nas wedle obyczaju wschodniego mówiąc:

— Chwała Bogu i jego prorokowi, który was tutaj przyprowadził.

Amudu odpowiedział w naszem imieniu:

— Bóg nas natchnął myślą odpoczęcia pod twemi namiotami.

— Bóg pobłogosławił naszemu pokoleniu przysyłając nam gości.

— Amudu-ben-Rahaman i kapitanowie zagraniczni życzą ci wszelkiego powodzenia, oby potomkowie twoi w trzeciem pokoleniu otaczali twoją starość pełną czerstwości i zdrowia.

— Check Ghemal-ben-Metor wita Amudu, ben Rahaman wita kapitanów cudzoziemskich i oświadcza im, że wszystkie namioty synów d'Ali są dla nich otwartemi.

Później starzec podał nam rękę do uściśnienia jakby chciał okazać, że zna obyczaje europejskie, a następnie wprowadził nas do swego namiotu.

Jak to można łatwo odgadnąć, nagromadzone sprzęty były wielkiej prostoty i w liczbie odpowiedniej do zaspokojenia niezbędnych potrzeb. Kilka plecionek słomianych i dywanów zastępowały łóżko, kilka naczyń miedzianych posługiwały do przyrządzenia jedzenia, a nareszcie kilka jataganów i strzelb zawieszonych na ścianach namiotu, służyły odpowiednio do obrony lub napadu. Swobodny jak ptak Arab koczujący, szuka jedynie przestrzeni i słońca.

Po wypiciu szklanki wielbłądziego mleka, różniącego się od mleka krowiego, chyba tem jednem, że jest więcej pienistem, byliśmy świadkami przyrządzonego śniadania na cześć naszą.

Baran cały pieczonym był na rozpalonych płaskich kamieniach, i w tej mierze tak towarzysz nasz Amudu jakoteż i Nubijczyk pełniący w pokoleniu obowiązki kucharza, pozostawali w najzupełniejszej zgodzie. Zdanie ich jednak było zupełnie odmiennem co do sporządzenia kukusu. Obadwaj zarówno zarozumiali, żaden przeto drugiemu nie chciał ustąpić, a spór początkowo cichy, zamienionym został na gwałtowny. Z obecnych Arabów jedni przyjęli stronę Amudu, drudzy Nubijczyka i nie było innego środka do wyjścia, jak tylko zawezwać obydwóch ochotników do przyrządzenia kukusu wedle wiadomego im sposobu.

Oto jest przepis na ową słynną potrawę arabską.

W wilią dnia w którym ma być jedzonem kukusu, wrzucają się ziarna pszenicy do wyżłobionego drzewa, zastępującego moździerz, i za pomocą tłuczka zamieniają się na mąkę. Po oczyszczeniu jej z plew, dolewają mleka, ale na tem zależy sztuka kucharska, aby tego płynu nie wlano ani zbyt wiele ani zbyt mało. Utworzone tym sposobem ciasto, miesza się bezprzestannie sześć godzin i wedle zdania kucharzy arabskich, najmniejsza przerwa w tej mierze jest bardzo szkodliwą. Później robią się gałki wielkości odpowiedniej do życzenia, począwszy od ziarnka grochu, orzecha laskowego lub włoskiego, aż do wielkości kuli bilardowej. Gałki te następnie kładą się na deskach celem wysuszenia ich na wolnem powietrzu. W takim stanie mogą trwać długo bez zepsucia, a do użycia gotują je w wodzie pół godziny lub godzinę odpowiednio do wielkości. Po wyjęciu z garnka solą je dorzucając pieprzu tureckiego i gałki muszkatołowej, a położywszy na patelni podstawiają pod piekącego się barana tak aby sok spadający oblewał je. Pod wpływem ognia i tłustości gałki te pęcznieją wydając zapach tak przyjemny, że wedle zdania arabskiego, umierający nawet powstałby z łoża boleści.

Różnica przyrządzania kukusu przez kucharza nubijskiego i naszego Amudu była bardzo nieznaczącą; zasadzała się tylko na tem, że nasz przewodnik zostawiał ciasto w spoczynku przez noc całą, rano robił gałki i po ostatecznem przygotowaniu takowych oblewał cytryną.

Wyznaliśmy wszyscy szczerze, że sposób podany przez Amudu czynił tę potrawę jeszcze więcej soczystą. Kucharz jednak nubijski potrząsał głową z pogardą mówiąc, że on przyprawia kukusu wedle wzorów zostawionych przez Abrahama i Izmaela, jednem słowem kukusu klasyczne, a Amudu pozaprowadzał nowości zaczerpnięte ze wzorów europejskich.

Zasiedliśmy do śniadania wyrywając z barana zaledwie upieczonego długie pasy mięsa. Jedliśmy je trzymając w rękach, bo widelce są nieznanemi pomiędzy plemionami koczującemi. Wszyscy nie mogliśmy się dosyć nasmakować kukusu, i zaiste potrawa ta jest wyśmienitą godną zawitać na stołach europejskich.

Po jedzeniu nie mogąc się oprzeć gwałtownej chęci spania, położyłem się na przygotowanych plecionkach. Sen począł już zlepiać powieki, gdy posłyszawszy jakiś szmer otworzyłem oczy i zobaczyłem dwóch Hiszpanów należących do naszego towarzystwa, biorących karabiny i wychodzących z namiotu. Ponieważ w czasie przyrządzania śniadania spali, sądziłem przeto, że wypoczęci chcą polować na szakale i nie zwracając na ten przedmiot uwagi, zasnąłem nie przypuszczając żeby im groziło jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

Nie umiem powiedzieć jak długo spałem, gdy nagle zbudził mnie huk broni palnej, krzyk wydawany przez kilkadziesiąt piersi ludzkich, rżenie koni, ujadanie psów, a po nad tym hałasem górował głos Amudu pełen gniewu i zgrozy. Wybiegłszy szybko pod namiot, zastałem dwadzieścia koni osiodłanych, gotowych do podróży i starego naczelnika pokolenia starającego się dosiąść przygotowanego dlań rumaka.

— Cóż się stało? zapytałem zdziwiony.

Amudu objaśnił mnie kilkoma słowami: że dwaj Hiszpanie wziąwszy karabiny oddalili się od namiotów może na dwa kilometry; że tam napadnięci zostali przez kilkunastu Arabów koczujących ukrytych po za wzgórkami piaszczystemi, że napad był tak gwałtowny, że nie mieli nawet czasu dać ognia, że słyszane strzały pochodziły od ludzi należących do pokoleń w pośród których bawimy, ale z powodu wielkiej odległości nie dosięgły kule napastników i ci znikli w przestrzeni piaszczystej unosząc z sobą naszych towarzyszy.

— Co myślisz robić? zapytałem Check Ghemala.

— Widzisz że moi jeźdźcy są gotowi.

— Czy jesteście w sile dostatecznej?

— To rzecz obojętna, bo i tak nie spotkamy tych ludzi przed ich powrotem do swego pokolenia.

— Tem gorzej jeżeli nie masz sił dostatecznych do walki.

— Walki nie będzie żadnej, bo skoro tylko napotkam naczelnika pokolenia Mochtalah i powiem mu, że jego ludzie zabrali dwóch moich gości, to natychmiast rozkaże ich wydać.

— A jeśli odmówi?

— Niepodobna!

— Jeżeli jednak zrobi to.

— W takim razie pójdę do naczelnika całej naszej drużyny i powiem mu: niewierni zawierzyli memu słowu i przyszli szukać gościnności w moich namiotach; jedli przy moim stole, nie obrazili niczem Ałłacha, nie chcieli dostać się do namiotów ukrywających nasze kobiety, jednem słowem nie obrazili udzielonej im gościnności, a tymczasem ludzie z pokolenia Mochtalah porwali zdradziecko dwóch gości i nie chcą mi ich zwrócić.

— Cóż na to odpowie naczelnik plemienia?

— Nic nie odpowie, zgromadzi tylko ludzi i siłą odbierze twoich towarzyszy.

Drżałem o los nieszczęsnych Hiszpanów, a chcąc należeć do wyprawy zażądałem, aby natychmiast podano mi konia.

Mieliśmy już ruszać w drogę, gdy Amudu zatrzymał nas oświadczając, że udzieloną radę przez Checka uważa za niewłaściwą, bo jeżeli będziemy jechać wprost do stanowiska Mochtalach, to rabusie widząc że ich ścigamy, dla zatarcia popełnionej zbrodni gotowi zabić dwóch porwanych młodzieńców. W takim razie, mówił Amudu, wszystko będzie straconem, nawet śmierć ich nie będzie pomszczoną, wedle bowiem zdania Arabów, zabity Giaur nie wart jest nawet aby go hyena pożarła.

Check Ghemal milczał, ale poruszeniem głowy dał poznać, że podziela zupełnie zdanie Amudu.

— Cóż więc mamy robić? zapytałem niecierpliwie.

— Nie ma innego środka, odrzekł Amudu, jak tylko szukać pomocy Mulacha, który jeżeli zechce, to dwaj młodzieńcy będą nam zwróceni w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Potrzebnem jest w tej mierze słówko objaśnienia. Koczujący Arabi nie uznają nad sobą żadnej władzy i roszczenia Imana z Maskatu żądającego podatku odpierają słowami:

— Tak jak nasi ojcowie kiedyś tak my dzisiaj, nie możemy dać nic inszego jak cień naszych koni:

Wyrażenie to dało początek dosyć dziwnemu zwyczajowi; oto każdorocznie wysłannik Imana z Maskatu objeżdża plemiona koczujące i zaraz po swojem przybyciu siada w cieniu rzuconym przez konia naczelnika mówiąc:

— Check Gheman-ben-Metor w imieniu Imana z Maskatu, siadam w cieniu twego konia.

Na co Check Ghemal-ben-Metor odpowiada:

— Niech Allach strzeże Imana z Maskatu.

Rzecz dziwna, ale gdyby wysłannik był umierającym z głodu i pragnienia, to nic nie dostanie w pokoleniu przed wymówieniem powyż przytoczonych wyrazów. Gdyby bowiem mu podano jakikolwiek posiłek i gdyby przyjmując go rzekł:

— Check Ghemal-ben-Metor w imieniu Imana z Maskatu, przyjmuję dziesięć wielbłądzic podobnych do tej co wydała mleko pite przeze mnie, przyjmuję również dwadzieścia baranów równych baranowi, którego widzimy przed sobą.

W takim razie nietylko pokolenie koczujące byłoby obowiązanem do składania podatku w ilości powyż wskazanej, ale nawet stosownie do woli Iman z Maskatu mógłby powiększać takowy.

Pomyłki jednak podobne nie mają nigdy miejsca, to też Arabi na pustyni są jak najzupełniej niepodległymi i władza duchowna pomiędzy nimi jest jedyną władzą przed którą schylają swe czoła. Rada przeto udzielona przez Amudu była jak najzupełniej właściwą i została przyjętą przez nas jednomyślnie.

W trakcie tej rozmowy spostrzegłem z największem oburzeniem Anglika dosiadającego muła i z najzimniejszą krwią jadącego do przystani, gdzie stał na kotwicy nasz okret. Rzeczywiście niezadługo nadchodziła oznaczona godzina odpływu i jako prawdziwy syn Albionu obojętny na los innych ludzi, zajęty jedynie własnemi sprawami, nie chciał doznać w swej podróży najmniejszej zwłoki. Doznałem jednak tej wielkiej pociechy, że murzyn Amudu objawił uczucia daleko więcej ludzkie. Zawezwany bowiem przeze mnie aby wracał na okręt, odpowiedział, że nie chce mnie zostawiać samego w pośród plemion koczujących, ani też odjeżdżać nie mając żadnej pewnej wiadomości o losie nieszczęsnych Hiszpanów. Objaśnił mnie przytem, że zawarł umowę z kapitanem jedynie na czas potrzebny do przejazdu z jednego portu do drugiego, że zatem jest w możności zupełnie uczynić co zechce.

Check Ghemal wraz z ludźmi do niego należącymi dosiedli koni, a ja z Amudu wdrapaliśmy się na przygotowane muły i szybko ruszyliśmy w kierunku Aden. Niezadługo stanęliśmy przed domem Mulaha, który grzecznie wyszedł na nasze spotkanie. Bez zwłoki czasu opowiedzieliśmy mu o zaszłym wypadku i żądaliśmy jego rady i pomocy. Zamyślił się z wyrazem jakiejś niechęci na twarzy, nie dającym mi wielkiej otuchy. Nareszcie odpowiedział, że uczyni wszystko co będzie w jego mocy, że zbierze wiadomości za pośrednictwem ludzi zależnych od niego, a po pewnym przestanku dołożył, że sam pojedzie z nami, bo pragnie aby dwaj młodzieńcy, którzy jedli i pili przy jego stole, wróceni nam byli zdrowi i cali. Później zwracając się ku mnie rzekł:

— Uspokój się, odszukamy waszych towarzyszy. W najgorszym razie, jeżeliby rabusie zdołali przez dni kilka ukryć swe ślady, to młodzieńcy, o których mowa, będą zniewoleni tłuc w stępach kukusu. Oto całe niebezpieczeństwo jakie im zagraża, ale pod warunkiem, że nie będą stawiać oporu, bo w takim razie sprawa ich byłaby prędko rozstrzygniętą.

Pomimo mej niecierpliwości, postanowiono, że ruszymy w drogę równo z zachodem słońca, wedle bowiem zdania Mulaha, napastnicy są ukryci teraz po za wzgórkami piasczystemi, śledząc, czy czasem z której strony nie są ścigani. Przyjazd nasz przeto do koczowiska Mochtalach byłby przedwczesnym i zamiast pożytku spowodowałby szkodę. Nie znając dokładnie obyczajów miejscowych, oświadczyłem, że zdaję się we wszystkiem na doświadczenie Mulaha.

Po gościnnem bardzo przyjęciu ruszyliśmy w drogę jak tylko słońce poczęło niknąć po za widnokręgiem pustyni. Na czele jechał Mulah i Check Ghemal, później ja i Amudu następnie resztka jeźdźców w dwójkach postępowała za nami. Jechaliśmy stępo przez wązkie i kręte uliczki Aden, ale skoro tylko minęliśmy ostatnie domy miasteczka, spostrzegłem że naczelnicy jadący przed nami okręcają swe okrycia białe naokoło ciała sznurkiem wyrobionym z sierci wielbłądziej.

— Baczność! zawołał Amudu, bo jeżeli nie jesteś doskonałym jeźdźcem, to trzymaj się oburącz siodła.

Zaledwie wymówił te wyrazy, gdy Check Ghemal gwizdnął przeraźliwie.

Na ten znak konie wyprostowały głowy, a później wyciągnąwszy szyję nagle ruszyły cwałem. Jakkolwiek nieźle jeżdżę na koniu, nie wiem jednak czybym wytrzymał zwycięzko tę próbę, gdyby nie siodła arabskie zbudowane w ten sposób, że mają bardzo wysoki przód i tył dające łatwy punkt oparcia. Arabi w czasie najszybszego biegu konia śpią w najlepsze na siodłach bez najmniejszej obawy spadnięcia. Ruch konia czystej krwi arabskiej, poświadczonej rodowodem utrzymywanym od wieków, przypomina po części ruch kolebki uspasabiając nadzwyczajnie do snu. Kto wie czybym nie poszedł za przykładem mych towarzyszy, gdyby nie wrażenia doznane, utrzymujące umysł mój w pewnego rodzaju gorączce. Nadto ruch powietrza spowodowany biegiem konia, oblewał twarz moją przyjemnym nader powiewem wiatru odświeżając spieczone płuca upałem całego dnia. Amudu nie mający żadnych powodów do rozmyślań, chrapał w najlepsze oparty o przednią poręcz siodła.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu.

Obok wschodniej, groźnie wysuwa się kwestya chińska. Groźba że barbarzyńcy zaleją Europę. — Oddawanie posad kobietom na stacyach kolei żelaznych. — Vidocq rodzaju żeńskiego. — Odmowa płacenia podatków. — Święta Australii. — Edukacya kobiet. — Profesor Holloway; jego kollegium dla kobiet i pigułki dla... całego świata.— Cudowna działalność ogłoszeń na wielką skalę. — Wuj Tom w Londynie. — Cyganie w Anglii i ich ukryte skarby; zakłócenie miłego spokoju właścicieli wspaniałych willi w Dulwich, z powodu sąsiedztwa cyganów. — Trwoga korporacyi i zakładów miłosiernych w Londynie, z powodu rozciągnięcia kontroli nad ich dochodami. — Królewska Akademia malarstwa; wystawa, odmówione obrazy i współzawodnictwo sir Couts Lindsay. — Autobiografia Hariety Martineau. — Zamęzcia panien Rotschild. — Odezwa rabina Adler.

(Dalszy ciąg).

Dotąd przechowują z poszanowaniem pierwszy przytułek założony przez nią dla nowo-wylądowanych: jest to prosty barak drewniany w którym mieści się wielki komin kuchenny i kilka haków żelaznych do zawieszania hamaków. Tam to pani Chisholm przebywała ze swemi protegowanemi, a gdy już dość znaczna zebrała się liczba, udawała się z niemi w głąb kraju, dla pomieszczania wszystkich w porządnych fermach, i tylko u osób za których moralność i uczciwość poręczała miejscowa władza. A łatwo pojąć ileż to przeniosła przykrości i trudów, podróżując tak w kraju nowym, zupełnie nieznanym, w którym prawie dróg nie było! Następnie zajmowała się wydawaniem za mąż swych wychowanek, dobierając im mężów z pośród najuczciwszych emigrantów, a dla szukających pracy założyła rodzaj kantoru, do którego mogli się zwracać z zupełnem zaufaniem.

Robotnikom którzy musieli udawać się do miejsc gdzie im dawano robotę, dawała zaliczki na koszta transportu; przez cały czas ogólna suma tych zaliczeń dochodziła do 50,000 funtów szterlingów (300,000 rs.) i na tem straciła zaledwie całe sto funtów. Nazwisko jej stało się głośnem we wszystkich koloniach, a osoba tak szanowaną i czczoną, iż wszystkie drzwi stawały dla niej otworem i zwalniano ją od wielu opłat. To też po siedmiu latach trudnego tego apostolstwa, ze szczupłych funduszów swoich wydała tylko sto kilkadziesiąt franków, ale ileż poniosła trudów, zabiegów i pracy! Staraniami swojemi, Karolina Chisholm zapewniła pracę, byt i utrzymanie przeszło 11,000 osobom.

Jedynym pomocnikiem i sekretarzem był mąż jej, który opuścił służbę wojskową i nader korzystną posadę w banku australijskim, aby pomagać żonie do spełnienia wielkiego dzieła, które uważali za konieczne dla chwały i pomyślności Anglii!

Karolina Chisholm była nadzwyczaj piękną, wzniosła jej dusza odbijała się w twarzy tchnącej jakimś nadziemskim, niebiańskim wyrazem. Wysoka blondynka z niebieskiemi oczami jaśniejącemi niewysłowionym urokiem słodyczy i dobroci, dziwną miała władzę nad najdzikszymi nawet ludźmi. Była katoliczką bardzo pobożną, a jednak iluż to gorliwych protestantów patrząc na nią, na jej życie i jej czyny, przyznawali że trzeba wierzyć w świętych. Tracąc ją i Australia i Anglia poniosły niepowetowaną stratę.

Podawszy dwa tak różne typy kobiet, muszę wspomnieć o jednej, odznaczającej się szczególniejszem — dziwactwem. Niejaka pani Sinett, mieszczanka z Hollovay, postanowiła odmawiać uparcie płacenia podatków; otóż w Anglii przepisy pod tym względem są bardzo surowe, prawo dozwala poborcy, zajmować bez uprzedniego zawezwania, wszystko cokolwiek napotka u zalegającego w opłacie, o tyle aby zajęte przedmiota odpowiadały wartością wysokości zaległych podatków. Otóż od lat trzech z kolei mistress Sinett z Hollovay pozwala zabierać sobie tym sposobem różne przedmiota, a robiącym jej uwagi dlaczego pozbawia się rzeczy daleko większej wartości niż wynosi należność za podatki, odpowiadała:

— Czynię to z zasady, gdyż tym sposobem protestuję przeciw nadużyciom władzy.

Poborca dość zabawnie opowiadał swoje zajścia z tą pocieszną oponentką.

— Pierwszego roku, mówił on, wziąłem z kredensu w sali jadalnej trzy piękne srebrne łyżki stołowe; drugiego z prawdziwą przykrością, musiałem zabrać piękny obrazek Wilkie'go, wiszący w pierwszym pokoju, gdyż zabarykadowała się w sali jadalnej. W tym roku przeciwnie wyszła do mnie uśmiechnięta i wyciągając ręce wskazała na dwie piękne złote bransolety, prosząc abym je zaniósł J. K. Mości, z oznajmieniem: że woli oddać choćby ostatnią koszulę, niż postąpić wbrew swemu przekonaniu płacąc podatki: „niech królowa Wiktorya wie że choć jeden człowiek jest w jej królestwie, a tym człowiekiem jestem ja!"

Wszyscy zgadzają się że mistress Sinett ma, jak to mówią, bzika, pomimo to dała powód już to do humorystycznych już to do poważnych rozpraw, nad zmianami i ulepszeniami jakie należałoby zaprowadzić w poborze podatków.

Kwestya edukacyi kobiet żywiej niż kiedykolwiek zajmuje umysły, a szczególniej też nauczanie klasyczne, mające wskazać matkom i żonom przyszłości: jak mają smażyć befsztyki i wybijać jaja na pudding, według zasad filozofii starożytnej. Żart żartem, gorąca żądza nauki i wiedzy coraz więcej objawiająca się w kobietach, i świetne powodzenie dwóch młodych i pięknych uczennic z kolegium Girton, które zdały egzamin w Cambridge, z takiemi ceremoniami jak i współzawodniczący uczniowie uniwersytetu i najwyższe otrzymały patenta, naprowadziły pana Hollovay na myśl podjęcia olbrzymiego dzieła, dla którego pragnął zjednać współudział równie bogatych, ale widać nie tak jak sam wspaniałomyślnych kapitalistów. Pomimo gorączkowej działalności jaka wiek nasz cechuje, nie znalazłby może drugiego równie czynnego i przedsiębierczego człowieka; nie jest on ani uczonym ani literatem, a jednak kolosalny swój majątek jaki zawdzięcza jedynie swej pracy i pomysłowości, poświęca głównie na cele naukowe i literackie. Aby dać niejakie pojęcie o ogromnym jego majątku, powiem tylko że profesor (jak się sam nazywa, choć nikt nie wie czego naucza a mianowicie na mocy jakiego dyplomu), że tedy profesor Hollovay założył już dom schronienia dla przychodzących do zdrowia, na który sam grunt kosztował pół miliona funtów szterlingów a budowle już dotąd ukończone, dozwalają wnosić że wzniesienie ich blizko drugie tyle kosztować musi. Otóż obecnie postanowił wznieść i założyć własnym kosztem kolegium dla kobiet, tak wielkie, okazałe i tak wysoko uposażone, jak żadne z istniejących dotąd na świecie.

Za bardzo wysoką sumę nabył grunt przeznaczony na budowę kolegium, i oznajmił że złożył połowę kosztu wybudowania całego gmachu i jego urządzenia, byle publiczność złożyła drugą połowę. Nie powątpiewając że uczone towarzystwa, uniwersytety, szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo, chętnie pośpieszy na jego wezwanie, kładł jednak za warunki: aby kolosalny jego posąg wznosił się w honorowym dziedzińcu a na frontonie stał napis: „Kolegium Hollovay." Zdaje się to rzeczą dość naturalną, a jednak z powodu tego warunku nie podpisano się ani na jeden szyling, co jest rzeczą prawie niesłychaną w Anglii, tej ojczyźnie subskrypcyi. Powodem tego było, iż nie mogli mu przebaczyć źródła i początku jego majątku, który powstał ze sprzedaży pigułek „orzeźwiających, wzmacniających i przeczyszczających, będących prawdziwem dobrodziejstwem dla rodzaju ludzkiego, jakiemu nie ma równego" nadto i pewnej maści „nieocenionej," o których ogłoszenia roztaczały się po murach wszystkich niemal wielkich miast całego świata, tak na wielkim murze chińskim jak na skałach Nowej-Zelandyi, na cedrach dziewiczych lasów Ameryki Południowej i na ostrych cyplach gór Skalistych. Dzienniki podały, że gdy nowy gubernator wylądował na wyspach Fidżi aby je objąć w posiadanie w imieniu Anglii, najpierwszym wyładowanym pakunkiem była beczka pigułek Hollovay'a i ogromna paka zawierająca tysiące tysięcy ogłoszeń, opiewających cudowne ich własności. Można wyśmiewać podobny sposób dorabiania się majątku, to jednak pewna że jest niemylny i nie widzimy powodu odtrącania przemyślnego i wytrwałego człowieka, który pracą i zmyślnością swoją do robiwszy się milionów, chce je składać na ołtarzu powszechnego dobra.

Z powodu tej rozległej sprawy, gazety przyłączają tysiące przykładów kolosalnych bogactw, nagromadzonych za pośrednictwem anonsów, a między innymi wymieniono Rowland'a, fabrykanta oleju makassar. Z powodu jakiejś sprawy musiał składać przysięgę w sądzie i oznajmić wysokość swoich przychodów; otóż zeznał że dochód jego wynosi około 100,000 f. szter. ale połowę wydaje na anonsa.

— I pocóż wydajesz pan takie ogromne sumy na same ogłoszenia? Przecież to nie jest niezbędnem, rzekł zdziwiony sędzia.

— O milordzie, tak dalece niezbędnem, iż gdy raz chcąc zaoszczędzić z tak szalonych wydatków, zaprzestałem ogłoszeń przez dwa tygodnie, sprzedaż mego makassaru i kalydory tak dalece się zmniejszyła, że ledwie w trzy miesiące mogłem doprowadzić do równowagi, za pomocą podwojonych anonsów.

Do równie bajecznych bogaczy zalicza się także pewien aptekarz Brighton, wynalazca jakiegoś preparatu z magnezyi. Ma on czternaście dzieci, i cała rodzina budzi podziw miasta szalonym zbytkiem i przepychem pojazdów, nawet daleko świetniejszych niż powozy królowej. Na spacer wyjeżdżają zawsze siedmioma powozami, zaprzężonemi w przepyszne rumaki, jadącemi jeden za drugim. (*d. c. n*).

Z CAŁEGO ŚWIATA.

II.

Dawne czasy. — Pani de Deffand i panna Lespinasse. — Salony arystokracyi ducha, rezydenci. — Jean Paul o krytykach. Dzieło p. Mohra o Hiszpanii. — Offenbach w Ameryce. (Dokończenie).

Otóż zdaje się, że biednej pannie Lespinasse poczytała staruszka za nieszczerość to, że kiedy drzemała, towarzyszka jej poważyła się tymczasem przyjmować i bawić gości, a jeszcze takich, jak Turgot, Marmontel, i co może najszkodliwsze dla niej, najwyżej cenionego przez panią de Deffand, miłośnika prawdy, d'Alemberta. Po wyjściu na jaw prawdy, przyszło do gorzkich wyrzutów ze strony margrabiny, która powoływała się na powyżej zacytowane słowa własne, jako podstawę stosunku.

Nie chciała już nawet widzieć panny Lespinasse. Ta zaś, nie wiedząc co pocznie, opuściła dom margrabiny w r. 1764.

Z owej chwili nieszczęsnej dla młodej jeszcze stosunkowo i jak powiedzieliśmy wcale nie celującej urodą panienki, można powziąć wyobrażenie o epoce tamtoczesnej, tak wielce różnej, tak odmiennej od dzisiejszej. Pokazało się bowiem, jaką to władzą był ów duch, *esprit* francuzki, jak wielki wzbudzał szacunek.

Wszakże panna Lespinasse nie była ani autorką, ani artystką, ani zbyt piękną, umiała tylko przyjmować, rozumieć, oceniać w pogadankach salonowych, a jednak to było władzą. I była to władza nielada, jeźli znaleźli się ludzie, którzy spieszyli z pomocą bezinteresowną, byle nie dać upaść jednemu z członków „arystokracyi duchowej."

Margrabina czyniła za to wyrzuty szczególniej d'Alembertowi, ale ten nie uznał pobudek jej za sprawiedliwe, odpierając słusznie, że to tylko zbyteczna drażliwość, która szuka winy tam, gdzie jej nie ma.

Dzieła pomocy dla panny Lespinasse dokonał książę Choiseul, ówczesny minister, który wyjednał dla niej u króla roczną pensyą, zapewniającą jej byt znośny zupełnie.

Tyle to naówczas mógł zrobić człowiek, który posiadał ducha, który nie mógł się nawet wykazać czynami geniuszu, jak utwory literackie i dzieła artystyczne. Dziś na tem polu znajdują powodzenie tylko ci, którzy umieją stroić się w pozory ducha, a są w istocie tylko zręcznymi albo przebiegłymi.

Bywało i w naszem społeczeństwie coś podobnego, co później — a dziś częściej wywołuje wspomnienie wzgardliwe. Takimi ludźmi z duszą, ożywieni humorem rodzinnym bywali tak zwani rezydenci, nie zawsze próżniacy, gdyż często podejmowali się najcięższych zadań. Ile to zmarnowanych talentów przepadło w tych ludziach. Czyliż zresztą Zygmuntowski Stańczyk nie należał także do pewnego rodzaju arystokracyi ducha. A gdybyśmy też zważyli na szali sprawiedliwszej jego zaparcie się — to olbrzym! Ale cóż, myśmy mistrze w wynajdywaniu plam i usterek, zalet nie umiemy szukać — to smutne.

Kiedy już potrąciłem o zmysł krytyczny — notabene fałszywy cokolwiek — a mam właśnie zdać sprawę z dzieła pewnego, więc niech mi będzie dozwolonem zacytować tu słów kilka z tego co mówi Jean Paul (Jan Paweł Rychter) o krytykach.

„Jeżeli krytyku, zapalasz się tak dalece ogniem bozkim dla sztuki, że nie chcesz darować, gdy jej w czemkolwiek uchybiono, to czemuż obrażony odzywasz się z taką złością? Albo czemu znowu czytelnik nie okazuje tak skwapliwie swej wdzięczności, chociaż doznał bezwątpienia wiele chwil miłych czytając dzieło? Wszakże w najgorszym razie, moglibyście oskarżać los tylko, że zamiast wszystkiego, dał autorowi tylko bardzo wiele."

Owóż wstępując raczej w ślady tych, dla których choćby nie *wszystko*, ale *bardzo wiele* jest już w autorze nie małą łaską Boską, postaram się podać kilka ustępów z dzieła p. Wilhelma Mohr, zatytułowanego: Achtzen Monathe in Spanien — (Z ośmnastomiesięcznego pobytu w Hiszpanii.

Rzecz dziwna, że autor dzieła wspomnianego, któ-

re wyszło w dwóch tomach, pojechał do Hiszpanii, jako sprawozdawca dziennikarski, w celu przesyłania wiadomości o niedawno uśmierzonej wojnie, tymczasem pokazało się, że więcej ma talentu jako spostrzegacz spraw społecznych życia spokojnego.

Drugi tom poświęcony jest niemal wyłącznie zwyczajom, obchodom i uroczystościom, szczególniej ludowym, które w istocie poznać dają najdokładniej życie i charakter każdego narodu. Bądź jak bądź tak tu jak wszędzie i zawsze nie warstwy znarowione często, przesiąkłe kosmopolityzmem, ale lud stanowi właściwy rdzeń, dźwignię społeczeństw. Wszędzie idzie tylko o to, o ile wpłynie się na umoralnienie go i podniesienie poziomu umysłowego.

Otóż okolicom Sewilli i obchodowi zwanemu *Ferias*, poświęca Mohr znaczny ustęp. Co to są sewilskie Ferias?

Uroczystość ta trwa przez dni trzy, ażeby zaś krótko rzecz przedstawić, to możnaby powiedzieć: Ferias sewilskie, to niezliczona moc rozmaitego bydła, koni, owiec, kóz, mnóstwo ludu wesołego, dużo przechadzających się ciekawych, dużo ulubionego trunku zwanego *manzanilla*, huk dobrej szynki, wiele błyskotek dla ludu i dzieci, tańce i muzyka, cyganie i cyganki, uczciwe pożywienie w hotelach i mnóstwo gości z odleglejszych okolic.

Cechą wszelkich tych uciech i zabaw, jak zapewnia Mohr — to dobroduszność, prostota niemal dziecięca i także wesołość. Głównym punktem zajęcia, to sprzedaż bydełka, zegnanego tutaj ze wszystkich części całego kraju. Ale ze stroną interesu połączona jest zabawa, tak, że prawie więcej rozmaitych widowisk i namiotów napełnionych ochoczymi do zabawy, niż kupującymi.

Odbywa się to tuż przed miastem, na niezmierzonej okiem równinie, przerżniętej kilku równemi alejami, pomiędzy któremi na kwadratowych prawie łąkach znajdują się areny z końmi i t. d. do koła tych placów mnóstwo bud, namiotów różnego kształtu, w których widnieje niebiesko-biała beczułka z manzanillą, wielkie flasze z *Agua Ardiente* albo cygareta *estanko*.

Dalej, bliżej ku miastu namiot za namiotem, tam komedyanci, akrobaci, ówdzie cyganie, a gdzieindziej znowu nader ciekawe sprzęty i zabawki domowego wyrobu, niełądne, barwne, jakie były przed dwiestu i trzystu laty, ale lud kocha je gdyż to swojskie.

Pomimo, że to miasto namiotów i kletek z drzewa istnieje tylko trzy dni, niemniej przeto rodziny zamożniejsze muszą tutaj mieć swoje namioty, w których przyjmują odwiedziny, jakby u siebie w domu. Na te trzy dni przenoszą się tutaj nawet fortepiany — słowem wszystko co rodzina jaka posiada. Gości swoich, przybyłych zdala wiodą rodziny sewilskie pomiędzy lud i cyganów, gdyż w czasie Ferias sewilskich, każdy stara się o ile możności zachować swoje tradycyjne zwyczaje i obyczaje.

Nad wieczorem ustają wszelkie interesa, a zaczynają się rozrywki, wówczas to setki powozów podąża jeden za drugim, a młoda arystokracya miejscowa jawi się na pięknych wierzchowcach. Po obu stronach drogi natomiast śpieszą tłumy piesze, poważnie, spokojnie, a jednak ochocze i wesołe.

Szmer poruszanych żywo wachlarzy, niewinne żarty, niekiedy uśmiech głośniejszy — oto co obija się o uszy. W namiotach, w głębi zasiedli poważni mężowie, którzy i w te dnie uroczyste nie pozbywają się swej sztywności, a u wejścia do namiotów zabawia się młode pokolenie, synowie i córki Sewilli. „Córy Sewilli — pisze autor — nie odważę się jednak rysować ich obrazu, gdyż nie mam atramentu z rosy i pyłku motylego i różanych listków, na których mógłbym ich powaby opisywać. Bo czyż to łatwo opisać naturalne wrodzone zalety niewieście, powab, lekkość nie przekraczającą granic wzorowego rygoru, wyzwania, które również przedstawiają się tylko jako naiwność dziecięca, instynktowo zyskająca serce i pociągająca oczy. A przed kilku laty było to życie jeszcze piękniejsze. Do niedawna bowiem kobiety, matrony poważne i dziewice sewilskie, jawiły się na uroczystość w strojach dawnych, narodowych. Tańczono tylko odwiecznego *fandango* albo *jaleos* i śpiewano przy dźwięku gitary z akompaniamentem tamburyna."

Dziś tracą już *Ferias* sewilskie dawne swe poczciwe cechy. Zaraźliwa mania, zaraza, która każe brać od Francuzów wszystko co najgorsze, zaraza ta dotknęła i Hiszpanią, i tutaj zaczynają już naśladować francuzką modę i francuzkie zbytki. Nawet taniec andaluzyjski, ów taniec uroczy, ustępuje miejsce trywialnym walcom i konwencyonalnym kadrylom. Trzydniowy obchód ludowy kończy się zwykle walką byków, sławną w Sewilli, której jednak nie opisujemy, gdyż, jak słusznie twierdzi autor: „tylko jeden kraj pod słońcem, kraj który wydaje mężów o stalowych muskułach a miękkich jak wosk umysłach, tylko taki kraj zdolen jest znosić widok walki byków.

Jeszcze słówko o nowem dziełku popularnego kompozytora Offenbacha. Był on podczas wystawy filadelfijskiej w Ameryce i z tego powodu poczuł także ochotę napisania jednego tomu pod tytułem: *Offenbach w Ameryce*, poprzedzone przedmową Alberta Wolffa. Niewiele tam ciekawych rzeczy i zapewne p. Offenbach jako autor nie zyska tej wziętości, którą wyrobił sobie za częste aż nazbyt lekkie utwory muzyczne. Cały niemal tomik jego dzieła o Ameryce, poświęcony przeglądowi teatrów Nowoyorskich i awanturom, jakie przechodzili dyrektorowie owych teatrów.

X.

Nowe wydawnictwa.

Szkiców historycznych Karola Szajnochy, wyszedł tom VI nakładem Józefa Ungra i zawiera: dalszy ciąg opowiadania o Jadwidze i Jagielle.

Prenumerata na wszystkie tomy wynosi rs. 20 do której na przesyłkę pocztową dopłaca się rs. 1. Dla prenumeratorów Tygodnika Illustrowanego cena prenumeracyjna o połowę zmniejszoną została i wynosi rs. 10.

Dzieł Juliana Bartoszewicza wyszedł tom 1-y za staraniem syna znakomitego tego pisarza i obejmuje historyą literatury polskiej.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w trzecim kwartale r. b., wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41** nowy**).**

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe. Wykończone jest z materyału wełnianego, ciemno-zielonego w adamaszkowy deseń i składa się ze spódnicy, vêtement i okrycia formą peleryny z szerokiemi rękawami. Plisy z materyału sukni, koronka i kolorowo haftowany galon z jasną wypustką stanowią przybranie. Kapelusz czarny bastowy zdobny wstążką i piórem tilleul. Parasolik ciemno-zielony z pąsową podszewką.

Fig. 2. Ubranie wizytowe. Suknia princesse z materyału wełnianego gładkiego i w pasy pąsowe, zapinana z tyłu, aż do kolan złożona jest w fałdy, z tyłu rozszerzające się w tren; z przodu ma dodane części gorsecikowe i chusteczkę zarzuconą á la paysanne. Plisy cięte z pasów pąsowych i niciana koronka oszywają chusteczkę i naszyte są trzy razy skośnie na przodzie wyciętym u dołu w głębokie zęby, podszyte plisowaniem z gładkiego materyału. Wypustki i kokardy z repsu pąsowego. Rękawiczki jedwabne écru siatkowe, podwleczone pąsowym

Fig. 3. Ubranie małej dziewczynki. Sukieneczka princesse z niebieskiej alpagi, ma przód zastębnowany w wąziutkie fałdeczki i przybrany kokardami z wstążki; boki zachodzą na wierzch i wycięte są w ząbki wązko objęte materyą. Plisowanie i kokardy z materyi. Kołnierzyk płócienny marynarski.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 31 Мая (12 Іюня) 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.